ŚWIATOWID

ILUSTROWANY KURYER TYGODNIOWY

Cena egz. 80 gr.

wychodzi w każdą sobotę w Krakowie — Poznaniu — WARSZAWIE — Lwowie — i Wilnie.
Prenumerata kwartalna: 10 złotych; zagranicą 12 złotych — Cena ogłoszeń za wiersz 1 mm 40 grosze. Nadesłane 1 złoty. Między tekstem redakcyjnym 2 złote
Redakcja i Administracja: Kraków, Basztowa 17, telefon 35-42. Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200.

Cena egz. 80 gr.

Nr. 3 | Sobota, 23 sierpnia 1924 | Rok I.

Zjazd straży pożarnych w Warszawie.



Inauguracja Zjazdu w auli Politechniki warszawskiej.

Marjan Fuks.

Zuchwały napad bandytów na Stołpce.



Posterunkowy Stanisław Wajdera, zabity koło dworca kolejowego w Stołpcach.



Nabożeństwo w kościele.



Posterunkowy Kaźmierz Kwaśniewski, zabity w ulicy Szpitalnej.

Od dłuższego czasu opinja publiczna w Polsce ustawicznie alarmowana była wiadomościami o bandyckich napadach w różnych okolicach naszych kresów wschodnich. Były to napady sporadyczne, co pewien czas się ponawiające. Napady dokonywane były według pewnej reguły. Mniej lub więcej liczna grupa kresowych opryszków zbierała się po tamtej stronie granicy, przechodziła ją, wdzierała się nawet głęboko w głąb kraju, otaczała samotne zagrody, brała łup i uciekała z powrotem zagranicę. W napadach takich główną rolę grał zazwyczaj rewolwer, karabin, nierzadko nawet karabin maszynowy. Świadczy to o tem, że bandyci na terytorjum sowieckiem mieli zawsze dużo czasu i sposobności, ażeby te napady w spokoju przygotować.

Dzielni policjanci i urzędnicy drogo sprzedawali życie. Świadczą o tem mogiły na cmentarzu stołpeckim. Trzech bandytów odrazu wpadło w ręce sprawiedliwości, kilkunastu schwytano później. Pościg odbywający się w niesłychanie trudnych warunkach, po lasach i trzęsawiskach, jeszcze dotychczas nie jest skończony. W Stołpcach bandyci urządzili prawdziwą masakrę. Sprawiedliwość weźmie odwet, i doraźny sąd, przed którym rychło już staną schwytani, zadanie będzie miał bardzo uproszczone. Krew za krew!

Wschodnie rubieże Rzeczpospolitej ciągle są jeszcze niespokojne. Po stołpeckim napadzie już nowe nadeszły wiadomości o dalszych dywersjach. Nie pomogła wymiana not dyplomatycznych naszego rządu z panami z Moskwy.



Spuszczanie trumien do grobu.



Żałobny pochód.



Trumny poległych w walce z bandytami.

Te dywersje były tak częste, że aż władze zmuszone były poczynić specjalne kroki, ażeby im zapobiedz. Stróżujący u wschodniej ściany Rzeczpospolitej generał Rydz-Śmigły dostał osobne pełnomocnictwa, wzmocniono stan liczebny policji na posterunkach kresowych, obecnie nawet jest mowa o jej militaryzacji.

Napady bywały częste, nawet krwawe, nie wybiegały jednak poza normę — jeżeli się wolno w ten sposób wyrazić — zwykłą. Ostatni jednak napad na Stołpce przeszedł stanowczo wszystko, co dotychczas było. Złożona z przeszło stu ludzi wataha wzięła miasteczko Stołpce, wedle wszelkich zasad strategji. Miasto zostało otoczone, przerwane połączenia telegraficzne i telefoniczne, ażeby znikąd pomoc nie mogła nadejść. Część watahy weszła do miasta. Celem jej było przedewszystkiem Starostwo i kasa skarbowa. Bandyci spotkali się z oporem. Z drżeniem kładą się codzień spać mieszkańcy kresowych osiedli. Rząd musi poczynić kroki bardzo energiczne, na straży tych ziem postawić bardzo liczne zastępy służby bezpieczeństwa publicznego, uposażyć je dobrze i troszczyć się o los wdów i sierot, tych, którzy na posterunku w walce z destrukcyjnymi żywiołami życie swe złożyle. Poległym na niewdzięcznem i ciężkiem, ali zaszczytnem stanowisku policjantom cześć.



Uczestnicy pogrzebu.



Wspólna mogiła poległych.

Zdemolowany urząd pocztowy w Stołpcach.





U góry trzej schwytani sprawcy napadu: 1. Herszt bandy Sapiński, 2. Goriaczko, 3. Joda.

Komenda Policji państwowej w Stołpcach.

Wspomnienia bohaterskiego męczeństwa Belgji.



Odsłoniecie Pomnika Zwycięstwa w Hawrze (Francja).
Atlantic.



Uroczyste poświęcenie Tablicy Wdzięczności w Saint Adresse.
Atlantic.



Odsłonięcie Pomnika Wdzięczności w Hawrze, ofiarowanego przez Belgję Francji.
Atlantic.

Świat, który nigdy nie zapomni ostatniej Wielkiej Wojny, pamiętać będzie także po wszystkie czasy heroizm Belgji. Z pogwałceniem traktatów pisanych i wrodzonych praw moralnych najechana przez Niemcy Belgja nie ukorzyła się przed najeźdcą, ecz z czołem dumnie wzniesionem, bądź cierpiała w kraju, bądź wyemigrowała z niego, by nie słuchać rozkazów wroga. Tak zrobił rząd belgijski, który znalazł w sąsiedniej Francji braterską pomoc, nietylko na polu bitwy, ale i w żmudnej pracy dyplomatycznej. Dopiero po ustąpieniu wroga Rząd J. K. Mości Króla Belgów wrócił na ojczystą ziemię, jako jej prawowity rządca. Belgja i Francja, złączone wspólną niedolą wojenną, nie zerwały i po niej serdecznych związków i właśnie teraz złożyły tego świeże dowody, upamiętniając minione już na szczęście wspólne nieszczęścia i wzajem rękę sobie serdecznie ściskając.



Na lewo: Książę brabancki, belgijski następca tronu składa hołd Mogile Nieznanego Żołnierza w Paryżu (Na prawo od niego marszałek Pétain, na lewo minister marynarki).
Agence Trampus.

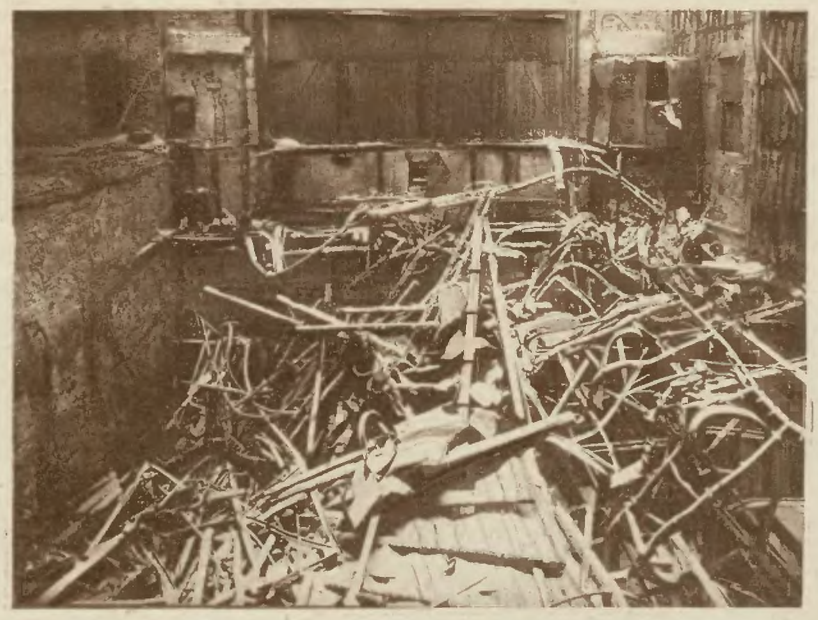


Na prawo: Tablica pamiątkowa w Saint Adresse (Francja), na ścianie domu, który był siedzibą rządu belgijskiego w czasie wojny.
Atlantic.

Teatr Narodowy w Warszawie.



Zaproszeni goście na próbie efektów świetlnych (w drugim rzędzie siedzą: dyr. Solski, dyr. Kraszewski, Prezydent miasta Jabłoński, wiceprezes dr. Zawadzki, dyr. Osterwa).
Fot. Malarski.



Wnętrze sceny teatru Rozmaitości po pożarze w listopadzie 1919 roku.
Fot. Malarski.



Teatr Narodowy w Warszawie: Fragment widowni.
Fot. Malarski.

Dzień 2 listopada 1919 roku przyniósł Sztuce i Kulturze Narodowej polskiej ogromną stratę: pożar zniszczył gmach Teatru Rozmaitości w Warszawie, siedzibę najdostojniejszej naszej sceny, która pamiętając dawne, lepsze czasy, przetrwała niewolę rosyjską i w odrodzonej Polsce do tem ważniejszych powołana jest zadań. Strata zdawała się być niepowetowaną. Ale tym razem wyjątkowo ze zgliszcz powstało nowe, świetniejsze jeszcze życie. Z energją godną najwyższego uznania zajęły się odrazu sprawą odbudowy czynniki miejskie. Przyłączyły się do tej akcji sfery artystyczne, ze znakomitym dyrektorem „Reduty", Juliuszem Osterwą i świetnym artystą malarzem, profesorem Wincentym Drabikiem na czele, poparcia nie skąpił ani rząd ani cała narodowa prasa — i oto powstaje już z popiołów Feniks. Przemianowane na Teatr Narodowy Rozmaitości już lada tydzień dostaną do swej dyspozycji stary gmach, odnowiony w tem wszystkiem, co stanowiło jego zaszczytną tradycję, rozszerzony i nowoczesnemi urządzeniami technicznemi uzupełniony tak, aby był nie przeszłości tylko pomnikiem, ale i jasnej Przyszłości Sztuki Polskiej siedzibą. Rozszerzona sala widzów, scena rozprzestrzeniona uzyskała mechanizm obrotowy, — udoskonalono do ostatniego wyrazu współczesnej techniki aparat efektów świetlnych — śnieżna białość kararyjskiego marmuru, godnie reprezentuje majestat Sztuki Narodowej — szerokie, wygodne wejścia i wyjścia dają najzupełniejsze bezpieczeństwo widzom. Dnia 14 sierpnia pokazano to tylko szczuplejszemu gronu zaproszonych, ale choć jeszcze nie wszystko jest do ostatnich szczegółów wykończone, pewnem jest, że tegoroczna rocznica 2 listopada zastanie już Teatr Narodowy w pełnym ruchu. Redakcja „Światowida", pisma przeznaczonego do niesienia Kultury Narodowej w szerokie koła, ze szczerą radością dzisiaj na pierwsze powitanie Teatru Narodowego w Warszawie szle Czytelnikom szereg zdjęć, dla nich specjalnie dokonanych.

Józef Flach.



Teatr Narodowy w Warszawie: Dyrektor Juljusz Osterwa.
Fot. Malarski.



Komitet odbudowy Teatru: siedzą: inż. Massalski, Wroński, prezydent Jabłoński, inż. Weissblat, profesor Przybylski; stoją: inż. Hummel, profesor Drabik i inż. Gnoiński.
Fot. Malarski.



Teatr Narodowy w Warszawie: Dekorato prof. Wincenty Drabik.
Fot. Malarski.



Teatr Narodowy w Warszawie: Marmurowe schody do krzeseł na widowni.
Fot. Malarski.

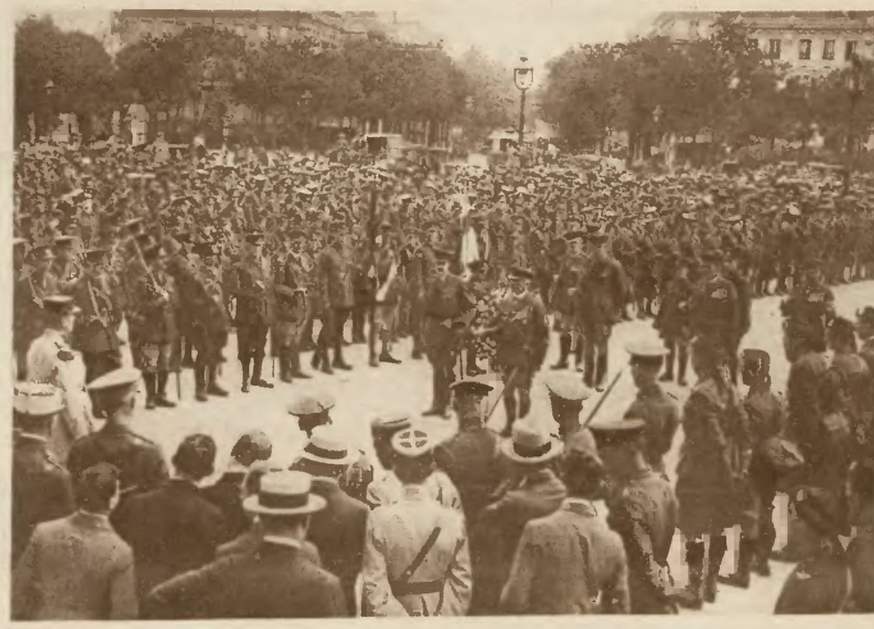


Teatr Narodowy w Warszawie: Poczekalnia dla widzów.
Fot. Malarski.

Ze Świata.



Kadeci angielscy, przybyli do Paryża, defilują przed generałem Lagrue pod Łukiem Tryumfalnym. Agence Trampus.



Kadeci angielscy z generałem Ludlow i Calwin na czele niosą kwiaty na Grób Nieznanego Żołnierza w Paryżu. Agence Trampus.



Trybuna prezydjalna na Międzynarodowym Kongresie Górników w Pradze. Central European Press.



Wycieczka parowcem uczestników Międzynarodowego Kongresu Górników w Pradze. Central European Press.

Międzynarodowy Kongres Górniczy w Pradze.

W stolicy Czechosłowacji obradował w pierwszej połowie sierpnia b. r. 27-my Międzynarodowy Kongres Górniczy z udziałem 122 delegatów, reprezentujących 1,972.150 górników i 13 państw: Anglję, Amerykę, Austrję, Belgję, Czechosłowację, Francję, Hiszpanję, Holandję, Jugosławię, Niemcy, Polskę, Rumunję i Węgry. Kongres otworzył pan Srba, czechosłowacki minister pracy a przewodniczącym został wybrany delegat angielski Smith — wiceprezydentami zaś Nesbit (Stany Zjednoczone) i Vanderbildt (Holandja). Obrady prowadzono w trzech językach: angielskim, francuskim i niemieckim.



Sztandary republikańskich związków przed teatrem w Wejmarze podczas uroczystości rocznicy ogłoszenia Rzeczpospolitej. Atlantic.

Rocznica ogłoszenia rzeczpospolitej w Niemczech.

Nawpół ze słusznego oburzenia na dynastję Hohenzollernów, która ich na nieszczęśliwą wojnę naraziła, nawpół pod przymusem zwycięskiej koalicji — Niemcy z cesarstwa przeobrazili się w Rzeczpospolitą.

Tego roku rocznica 11 sierpnia zeszła się także z taką okazją: Konferencją Londyńską, i tem tłomaczy się wyjątkowo uroczysty obchód tegoroczny tej rocznicy zarówno w Berlinie jak i w Wejmarze. Wątpić wolno, czy wszyscy oficerowie i żołnierze, słuchający pana prezydenta Eberta są przekonanymi republikanami.



Papanastasiu, nowy prezydent ministrów w Rzeczpospolitej greckiej. Atlantic.



Generał Birwood, nowo-mianowany, głównodowodzący angielskich sił zbrojnych w Indjach angielskich. Atlantic.



Dr. Nincic, minister spraw zagranicznych w Jugosławji podał się do dymisji. Atlantic.



Prezydent Rzeczpospolitej niemieckiej Ebert przemawia do wojska i policji na obchodzie w Berlinie. Sennecke.

Nieco o Panach



Moda to siła suggestji wywieranej przez grupę estetów na mniej lub więcej liczne środowisko. Jeżeli się mówi o estetyce, nie podobna pominąć milczeniem dziedziny stroju męskiego. To też sztuka ubierania się gra bezprzecznie wybitną rolę w środowiskach ludzi cywilizowanych i kulturalnych. Brak kultury wypowie się tu odrazu jakimś drobnym szczególikiem, niewłaściwem zastosowaniem pewnej części stroju do całości... Ani dobry krawiec, ani droga bielizna, ani najdroższe, a najwykwintniejsze dodatki tu nic nie pomogą... Ulice nasze są pokazem chodzących w złym guście, a świeżo wywatowanych „Manekinów"...



Jak się ubiera i co nam przynosi dziś Londyn?



Zapewniam, że żadnych senzacji nie ma, a zmiany bardzo minimalne. Kapelusz o prostem i umiarkowanem rondzie i nie wpadającem po nos, obszyty kolorową wstążką. Z powrotem zostały przyjęte do mody meloniki. Do nowości, które się przyjęły, należy kołnierzyk o rozchodzących się szpicach. Kołnierzyki o długich szpicach można nosić przy miękkiej bieliźnie, nie jest to jednak obowiązującem.

Po południu i wieczorem są noszone ubrania tylko ciemne w paseczki w różnych odległościach. Krawaty przeważnie ciemne, albo w kolorach pastelowych, zastosowane do ubrania. Półbuciki o



grubych, a także bardzo często gumowych podeszwach, miernie zaokrąglone, a nie przesadnie spiczaste, które są dziś tak rozpowszechnione.

Obuwie czarne, lakierki, choć zarzucone, są również dopuszczalne. Wieczorem do teatru, lub na dancing najstosowniejszy tylko smoking — z wyjątkiem uroczystych galowych przedstawień, gdzie frak jest najodpowiedniejszy a lakierki obowiązujące.

Płaszcz dwurzędowy o sześciu guzikach, rękawy kimonowe, nie przesadnie szerokie, które tworzą z tyłu po bokach kontrafałdy zapięte patką. Kolory przeważnie ciemne. Zupełnie niedopuszczalne jest watowanie ramion, bardzo wcięte stany, długie płaszcze — chałaty z dziwacznie rozstawionymi guzikami.

O sportowych ubraniach i bieliźnie będziemy mówili w następnym numerze, a tych parę uwag o wyglądzie panów zakończę znaną angielską maksymą: Ażeby być dobrze ubranym, nie wolno nosić rzeczy zbyt jaskrawych, rzucających się w oczy.



R. DE ROQUEBRUNE.

Dług honorowy.

Tłum. Jadwiga Migowa.

(Dokończenie.)

Po likwidacji i sprzedaży naszego materjału, znaleźliśmy się pewnego wieczora w naszej chacie, gotowi do odjazdu, każdy w swoją stronę. Rzeczy nasze były spakowane i tę oto ostatnią noc mieliśmy spędzić w mieszkaniu, gdzie żyliśmy obok siebie przeszło dwa lata. Prawie, że nie znaliśmy się, ponieważ każdego z nas przygniatała praca i każdy był zajęty wyłącznie własnemi sprawami. Tego wieczora, kiedy mieliśmy się rozstać ostatecznie, popatrzeliśmy sobie w oczy, niby dwóch nieznajomych ludzi: z odrobiną zdziwienia i zawstydzenia.

Chcąc ułatwić spędzenie wieczoru, który zapowiadał się kłopotliwie, zaproponowałem mojemu towarzyszowi, abyśmy się czegoś napili. W chacie naszej mieliśmy zawsze whisky i pozostało nam kilka butelek. Ognisty trunek rozweselił mnie, natomiast towarzysza mojego pogrążył w silniejszą niż zwykle posępność. Palił fajkę, nie mówiąc ani słowa i popijał co jakiś czas łyk alkoholu. Na dworze było bardzo zimno. Nigdy może tak silnie jak tej nocy nie uderzyła mnie przeraźliwa smętność tej okolicy. Aby się wyrwać z odrętwienia, które mnie ogarniało, wstałem i zacząłem chodzić po chacie.

W kącie leżały rzucone nieporządnie ubrania robocze dwóch naszych robotników, którzy porzucili je tutaj, przebrawszy się w odświętny strój, aby się udać do Dawson City. W tym mieście, zbudowanem z drzewa, o ulicach szerokich i smutnych znajduje się nieprzeliczona ilość barów i innych lokali rozrywkowych. Tam to nie jeden kopacz złota trwoni owoc pracy szeregu mozolnych miesięcy.

Potrąciłem nogą jedno z leżących ubrań, przez co z kieszeni marynarki wypadła talja kart.

— Pochyliłem się i podniosłem karty.

— Posłuchaj no Allard, a gdybyśmy tak zagrali w karty, żeby zabić czas.

Allard podskoczył, przestał palić fajkę, i spojrzał mi bystro w oczy.

— Grać... wyrzekł.

— Tak jest. Dzisiejszy wieczór jest zanadto nudny, chętnie więc zabawiłbym się trochę. Wiesz o tem, że nie znam zupełnie kart, ponieważ nie miałem czasu, ażeby oddawać się grze. Wiem jednakowoż, że ty znasz się na tem doskonale. Możesz mi więc udzielić lekcji. Umiejętność gry może mi się przydać jeszcze w życiu.

Mówiłem to wszystko żartem. Byłem trochę nietrzeźwy.

Nie mówiąc ani słowa, wziął karty i rozłożył je na stole. Oglądał je, brał każdą do ręki, jakgdyby nawiązywał z niemi kontakt. I nagle, jakby pod wpływem gwałtownej decyzji, począł karty mieszać i rozdawać. Usiadłem naprzeciw niego. Za stół gry służyła nam deszczułka ułożona na kolanach. Allard nauczył mnie gry bardzo łatwej, brutalnej i szybkiej, która mnie dosyć słabo zainteresowała. Nie byłem nigdy graczem.

Allard pomieszał karty, dał mi z nich cztery i tyleż wziął dla siebie, poczem resztą kart położył na deszczułce, zastępującej nam stół. Pociągnąłem górną kartę talji i odwróciłem, aby zobaczyć, co mi los dał w udziale. Chodziło o to, by dodać wartość tej karty do innych kart tej samej maści, które już miałem w ręku. W ten sposób ponieważ dostałem 8-kę pik a w ręku miałem już asa i 9-tkę pik, to razem dawało mi 18 punktów. Gdybym nie miał w ręku żadnej karty tego samego koloru, to tylko kupiona karta liczyłaby się. Następnie współgrający czynił to samo a kto miał najwyższą ilość punktów, ten wygrywał partję.

— Zagraliśmy kilka partji na próbę. Natychmiast zrozumiałem zasady tej gry, oparte przedewszystkiem na przypadku. Na kombinację nie było tutaj miejsca. Gdy Allard doszedł do przekonania, że umiem już grać, spojrzał mi w oczy i rzekł:

— A teraz zagramy naprawdę.

Gorączkowo począł rozdawać karty. Graliśmy. Naprzód graliśmy o pieniądze, które mieliśmy przy sobie: o kilkaset dolarów. Wygrałem. Miałem szczęście początkującego gracza. Mój partner grał z zaciśniętemi zębami. Na jego twarzy zwykle bladej widniały lekkie wypieki. Niewiadomo, czy było to działanie alkoholu, czy też gorączka gry.

Gdy przegrał już wszystkie pieniądze, które miał przy sobie, zaproponowałem abyśmy grać przestali. Ogarnął mnie jakiś nieokreślony niepokój. Zdawało mi się, że w oczach Allarda dostrzegam złe błyski. Czoło jego przecięła głęboka zmarszczka, twarz postarzała się nagle o 10 lat.

— Allard, przestańmy grać, rzekłem, jestem zmęczony i już mnie to nudzi. Wiesz przecie — że nie przywykłem do kart. Spojrzał mi bystro w oczy i rzekł:

— Czy boisz się przegrać swoje pieniądze? Wyrzekł to tonem szorstkim, patrząc na mnie prawie z gniewem.

— Nie boję się, ale uważam, że to jest głupie, co my robimy, wyzywając przypadek przy pomocy tych kawałków kartonu.

— Nie jest to wcale głupsze od tego, cośmy robili przez dwa lata, wyzywając również przypadek. A zresztą, chcę ci zaproponować, abyśmy zagrali w sposób bardziej interesujący.

Nie wiem, jak się to stało, że wygrałem cały majątek mego towarzysza, ja, który prawie nie znałem kart. Los sprzyjał mi bez przerwy. W przeciągu 3 godzin wszystkie 50 czeków podpisanych przez Allarda przeszło do moich rąk.

Gdy później myślałem o tym wypadku, to uderzyła mnie niezwykłość charakteru tego człowieka. Pomyślcie! wszakże byłem pijany, mógł mnie zatem z łatwością oszukać podejść i nietylko nie przegrać nic, ale nawet wygrać. A jednak on nie uczynił nic, aby dopomóc przypadkowi.

Gdy przegrał wszystko, siedział przez długą chwilę zamyślony, spoglądając na nagromadzone przedemną czeki. Oczy jego błyszczały tem ponurem światłem, które mnie zastanowiło na początku gry. Nagle wyjął rewolwer z kieszeni i położył go na stole przed sobą. Skoczyłem. Krople potu wystąpiły mi na czoło. Odczułem, że śmierć krąży dokoła tej chaty i za chwilę wejdzie.

Allard zrozumiał moj przestrach i uśmiechnął się pogardliwie.

— Usiądź, Ewans, zagramy raz jeszcze.

— O cóż będziemy grali, wszakże już nic więcej nie posiadasz?

— Mam jeszcze życie.

Powiedział to spokojnym tonem. Potem pochwycił ręką pakiet 50 czeków, podpisanych jego nazwiskiem i położył je na desce, służącej nam za stół. Rewolwer położył obok.

— Grajmy, rzekł, ta partja będzie decydująca. Stawiam moje życie przeciwko tym 50-ciu czekom. Jeżeli przegram, przysięgam, że zabiję się natychmiast w twojej obecności.

— Zaczęliśmy grać. Patrzyłem w moje karty. Miałem w ręce asa pik, trójkę pik, dwójkę coer i czwórkę trefle. Nie mogłem żywić nadziei, że wygram z tak słabemi kartami i odczuwałem z tego powodu prawie — że zadowolenie. Wyciągnąłem rękę i wziąłem jedną kartę z góry. Siódemka pik! Dodając to tego mojego asa i trójkę miałem jedenaście punktów.

Allard bez słowa pociągnął następną kartę.

Dziesiątka karo. Byłem już przekonany, że przegrałem —. Najmniejsza karta z koloru karo w rękach mego przeciwnika dawała mu kompletną przewagę nademną.

Nagle Allard zerwał się, chwycił swój rewolwer, włożył go do ust i wystrzelił.

Padł na ziemię z roztrzaskaną głową. Stałem kilka minut bez ruchu, ogłuszony, oszołomiony, nie rozumiejąc, co się to właściwie stało. Karty Allarda leżały otwarte. Instynktownie rzuciłem na nie okiem. Nie było tam ani jednej karty karo Wygrałem większością jednego punktu.

W chwili, kiedy uświadomiłem sobie to, co się stało, pierwszą moją myślą była myśl o ucieczce. Wszak mógł mnie ktoś posądzić o zamordowanie towarzysza.

Wspomniałem już panom, że ten człowiek, o którym będę wam mówił, był w każdym calu Europejczykiem, ale to, co wam teraz powiem, wyda się wam napewno zanadto amerykańskiem. Ostatecznie zabijając się Allard był posłusznym prawom przesadzonej nieco uczciwości. Zabierając podpisane przezeń czeki szedłem tylko za jego przykładem. Wsiadłem na konia i pognałem do Dawson. Przybyłem tam rano, podjąłem w banku należne mi kwoty i opuściłem jaknajszybciej tę okolicę.

Udałem się do Stanów Zjednoczonych, gdzie zrobiłem majątek.

Z dzienników kanadyjskich dowiedziałem się, że w kilka dni po moim odjeździe znaleziono w naszej chacie zwłoki Allarda. Przypuszczano morderstwo, o które mnie podejrzywano. Ale wszystko to zajmowało mnie tylko przez krótki czas.

Zapomniałem potem o Dawsonie i o kopalni złota i o tym człowieku, który się tam zabił.

. . . .

Towarzysze J. W. Ewansa słuchali jego opowiadania paląc cygara.

— Ten człowiek zabił się przez próżność, rzekł Włoch.

— Albo z rozpaczy, zauważył Francuz.

— Nie panowie, rzekł Ewans, on się zabił, bo miał honor. —

Dzisiejszy Polski Gdańsk.



Ogólny widok stoczni gdańskiej.
Dr. Neuberg.

Wbrew słuszności nie otrzymawszy z powrotem Gdańska, Państwo Polskie ma wprawdzie dla strzeżenia tam swoich praw narodowych, politycznych, kulturalnych i gospodarczych klauzule Traktatu Wersalskiego, wobec tego jednak, że one i zasadniczo są niewystarczające i interpretowane są często niekorzystnie dla nas, znaczna część zadania spada na



Zarząd gminy polskiej w Gdańsku (siedzą od lewej ku prawej): Czarnecki, sekr. gener., wiceprezes Kwiatkowski, prezes Stan. Leszczyński, marsz. Budzyński, skarbnik Szwarc. Dr. Neuberg.

samą kolonję polską gdańską. I trzeba przyznać, że na ogół zdaje sobie ona sprawę z tego obowiązku i mimo niesprzyjających a czasem wprost wrogich warunków, potrzymuje wedle sił sztandar polskości nad Wolnem Miastem. I tak w r. 1920 powołano tam do życia organizację pod nazwą „Gmina Polska w Wolnem Mieście Gdańsku“. Instytucja ta rozrosła się obecnie do potężnych rozmiarów i obejmuje cały żywioł polski Wolnego Miasta. Najwyższym czynnikiem wykonawczym „Gminy Polskiej“ jest Naczelna Rada, składająca się z 75 delegatów, reprezentujących wszelkie odłamy polskiej ludności oraz 38 towarzystw kulturalnych i społecznych.

Zadania Gminy Polskiej mają dla rozwoju polskości w Gdańsku nadzwyczaj doniosłe znaczenie: zakładanie i utrzymanie ochronek dla dziatwy polskiej, kursa dokształcające dla młodych i starych, odczyty, obchody narodowe, opieka nad szkolnictwem ludowem, zakup książek dla ubogich dzieci szkolnych, opieka religijna, dopominanie się słusznych praw naszych w kościołach katolickich Wolnego Miasta, opieka prawna, oraz pomoc materjalna dla ubogiej dziatwy i ubogich w nieszczęśliwych wypadkach. Za inicjatywą Gminy Polskiej zawiązała się Macierz Szkolna, której pieczy powierzone jest pierwsze Gimnazjum Polskie w Gdańsku, rozwijające się świetnie. Pracą całą kieruje Zarząd Naczelnej Rady Gminy Polskiej, którego Prezesem niezmordowanym od lat 3-ch jest p. Stanisław Leszczyński. Należy podkreślić, że 90% ludności polskiej w Gdańsku, to rzesza robotnicza, której wielka ofiarność łącznie z poparciem inteligencji, przemysłowców i kupców umożliwia przeprowadzenie powyższych zadań. I w Sopotach, należących do terytorjum W. Miasta, polskie stowarzyszenia, zwłaszcza sportowe rozwijają żywą działalność.

Równolegle z tą pracą na polu życia narodowego idzie rozwój polskości w życiu przemysłowo-handlowem Gdańska.



Przeładowanie części parowozów przywiezionych do Gdańska na okręcie amerykańskim.
Dr. Neuberg.

Największem przedsiębiorstwem przemysłowem jest Międzynarodowe Tow. Budowy Okrętów i Warsztaty Mechaniczne, obejmujące Stocznię Gdańską i Warsztaty Kolejowe w Troyl.

Zakłady te były przed wojną własnością rządu niemieckiego a na podstawie pokoju w Versailles stały się po połowie własnością rządów Polski i Wolnego Miasta Gdańska, pod warunkiem, że żaden z tych rządów nie będzie bezpośrednio przez pięćdziesiąt lat tych zakładów eksploatować, lecz zawiązane będzie dla eksploatacji ich Międzynarodowe Towarzystwo, któremu te zakłady zostaną wydzierżawione.

Na skutek tego zawiązane zostało wyżej wspomniane Międzynarodowe Towarzystwo, do którego przystąpił kapitał angielski z udziałem w kapitale zakładowym w wysokości 30%, kapitał francuski również z udziałem 30%, kapitały zaś gdańskie i polskie z udziałami po 20%.

Towarzystwo to wydzierżawiło od rządów: Polskiego i Gdańskiego Stocznię Gdańską i Warsztaty Kolejowe na 50 lat, a czynsz dzierżawny płaci Towarzystwo w formie dywidendy od akcji użytkowych, których Polska otrzymała 4000 sztuk.

Polski kapitał złożyło kilka banków polskich, między innymi Polski Bank Krajowy obecnie Bank Gospodarstwa Krajowego. W Radzie Nadzorczej Towarzystwa zasiada 10 członków Rady Nadzorczej w stosunku do kapitału zakładowego, a mianowicie: trzech Anglików, trzech Francuzów, dwóch Polaków i dwóch Gdańszczan.

Polskimi członkami Rady Nadzorczej są inżynierowie: A. Dunin i S. Grabski. W ten sposób Rząd polski posiada wpływ na administrację tego Towarzystwa. Generalnym Dyrektorem Międzynarodowego Towarzystwa jest przemysłowiec, profesor, doktór inżynierji Ludwik Noé, rodem z Alzacji. Dzięki jego energji rozszerzyła się znacznie produkcja wspomnianych zakładów.



Budynek Gminy i Gimnazjum polskiego w Gdańsku.
Dr. Neuberg.



Sokół polski w Sobotach, przy sztandarze (w stroju ćwiczebnym prezes Ptaszycki). Dr. Neuberg.



Rewizja dokumentów osobistych na pograniczu polsko-gdańskiem.

Oddział Muzeum Narodowego w ratuszu krakowskim.



Muzeum Narodowe w ratuszu krakowskim: Staroświecka figura Chrystusa, jadącego na ośle (obuoszona dawniej na procesjach Wielkiego Tygodnia) Pawlikowski.



Muzeum w ratuszu: Madonna z wieku XIV, jeden z najstarszych zabytków kościelnych w Krakowie. Szwedo.



Oddział Muzeum Narodowego: Sławny „Ogrojec," dzieło Wita Stwosza, perła jego zbioru. Pawlikowski.

Muzeum Narodowe w Krakowie, będące własnością duchową nie jednego miasta, ale całego narodu, nie ma niestety jeszcze pomieszczenia, zdolnego objąć wszystkie zbiory. Nowy, monumentalny gmach jest dopiero w sferze projektów, adaptacja dawnego szpitala wojskowego na Wawelu na cele muzealne także natrafia na nieprzezwyciężone (?) trudności. Są tylko szczupłe, nieodpowiednie, piętrowe sale Sukiennic, w których zaledwie część zbiorów się mieści. Toteż z całem uznaniem powitać trzeba fakt, że dnia 9. sierpnia b. r. dzięki energji dyrektora Muzeum dr. F. Kopery i wiceprezydenta miasta inż. Rollego nastąpiło otwarcie oddziału Muzeum w wieży ratuszowej, na razie w dwóch salach. Oddział ten zwiedzają już krakowianie a wszystkie wycieczki zwiedzające starą stolicę Polski winny odtąd wieżę ratuszową włączyć do swego programu.

Poświęcenie sztandaru 19 p. ułanów w Ostrogu Wołyńskim.



Grupa gości i oficerów pułku na poświęceniu sztandaru 19 p. ułanów w Ostrogu Wołyńskim z marszałkiem Piłsudskim w środku.



Uroczystość poświęcenia sztandaru 19 p. ułanów w Ostrogu Wołyńskim w obecności marszałka Piłsudskiego.

Ś. p. Stanisław Dębicki.



Sztuka polska poniosła bolesną stratę. Zmarł w Krakowie Stanisław Dębicki, jeden z najwybitniejszych współczesnych malarzy polskich.

Opera pod gołem niebem.



Mascagni, sławny kompozytor włoski dyryguje orkiestrą w przedstawieniu „Aidy" Verdiego w Wiedniu pod gołem niebem odegranej, udziałem swym uświetniając to święto muzyki włoskiej. Atlantic.

Rocznica „Cudu nad Wisłą“.



Warszawa: Główna loża z Generalicją i przedstawicielami rządu.
Marjan Fuks.



Warszawa: Biskup polowy ks. Gal celebruje mszę uroczystą. Marjan Fuks.



Fanfara. Marjan Fuks.



Rocznica „Cudu nad Wisłą“ w Krakowie. Wojska na Błoniach.

Cztery lata mijają od tej pamiętnej chwili, kiedy Warszawa a z nią cała Polska znalazła się w obliczu najgroźniejszego niebezpieczeństwa. Już miały hordy bolszewickie wtargnąć w mury stolicy, gdy w ostatniej chwili patrjotyczny zapał całego społeczeństwa, dzielność naszych wojsk, pomoc sprzymierzonej z nami Francji i — stwierdzamy to dzisiaj z korną podzięką — Łaska Opatrzności w samo święto Matki Boskiej Zielnej rozbiły hufce nieprzyjaciół i Ojczyznę od upadku uratowały. Nic dziwnego, że dzień 15 sierpnia zapisał się głęboko w sercach wszystkich Polaków, a jego rocznica obchodzona jest w całej Polsce jako święto, przemawiające do najgłębszych uczuć najszerszych mas. A obok podzięki za przeszłość, w dniu tym idzie do Pana rzewna modlitwa, by z pamiątki tego przełomowego dnia szła ku Narodowi ta najważniejsza przestroga: by zgodna miłość Ojczyzny zawsze królowała ponad stronnictwami.



Warszawa: Defilada. 11 pułku ulanów.
Marjan Fuks.



Warszawa: Defilada. Działa zenitowe.
Marjan Fuks.

Ogólno państwowy Zjazd Straży Ogniowej Rzeczpospolitej polskiej.



Prezes Głównego Związku Straży Pożarnych Rzeczpospolitej, p. B. Chomicz.

W dniach 15, 16 i 17-tym sierpnia odbył się w Warszawie ogólno państwowy zjazd straży ogniowej. Na zjazd przybyło około półtora tysiąca ludzi. Pierwszy dzień zjazdu był szeregiem uroczystości, w których brali udział również przedstawiciele władz i ludności stolicy. Prawie wszystkie drużyny strażackie przybyły z sztandarami, w różnorakich, malowniczych strojach i lśniących hełmach. Po nabożeństwie w katedrze św. Jana odbyło się poświęcenie sztandaru Głównego Związku Straży Pożarnych.



Nowo poświęcony sztandar Głównego Zw. Straży Ogniowej Rzeczpospolitej Polskiej. Marjan Fuks.



Pochód przez miasto. Hufiec sztandarowy z komendantem straży wileńskiej p. Waligórą na czele. Marjan Fuks.

Znowu katastrofa budowlana w Warszawie.



Niespełna przed tygodniem zawalił się w Warszawie parterowy dom przy zbiegu ulic Gęsiej i Okopowej. Obecnie jest do zanotowania drugi znacznie groźniejszy wypadek, mianowicie przy ul. Skórzanej nr. 4 runął wysoki, 4-ro piętrowy budynek. Strat w ludziach na szczęście nie było, dom ten bowiem w dzień przed katastrofą został z ostatnich mieszkańców opróżniony.



2

CARTON DAWE:

OBLICZE GORGONY.

PRZEKŁAD K. RYCHŁOWSKIEGO.

— Być może, — to nawet wcale zabawne, Euryale! jak sobie właściwie mam tłomaczyć te wszystkie historyjki?

— Historyjki?

— No, — owe ustawiczne wywoływanie przeszłości, legendarnych postaci z dziejów starożytnej Grecji! Nie przeczę zupełnie, zna ją pani wyśmienicie. Ale pocoż te ustawiczne aluzje do osobistych stosunków pani ze starożytnymi bogami? Tego rodzaju żarty muszą w końcu zamącić umysł nawet odporniejszy od mego. Bo — wyznam szczerze — jestem głupim i ignorantem.

— Nie, drogi Bobbie, — pan jesteś mądrym.

— Jeśli zatem uważasz mnie pani za mądrego, — proszę nie mówić mi więcej podobnych głupstw.

— Jak to pan rozumiesz? nie umiałabym nawet mówić głupstw!

— Ja mam co do tego inne zdanie! Bo jakże nazwać owe opowiadania pani o postaciach legendarnych, żyjących rzekomo przed tysiącami lat? O postaciach nigdy w rzeczywistości nie istniejących?

— Skąd pan możesz wiedzieć o tem? A przecież wierzycie w Chrystusa...

— To zupełnie co innego. Chociaż nie widziałem go...

— I niema nikogo obecnie, któryby widział Chrystusa.

— Owszem okiem duszy. Argumenta pani są zanadto subtelne.

— A pamiętaj pan i o tem: wielu ludzi widziało Go — a pomimo tego nie uwierzyli w niego! Czyż cała mądrość ludzkości ma się ograniczać na tem tylko, co jest dostrzegalne dla oka? Może to, co ja panu mówiłam, wyda się panu nieprawdopodobnem, a jednak twierdzę stanowczo, że mówiłam tylko szczerą prawdę. Są jeszcze pewne punkta, dla mnie samej ciemne. Zmysły moje budzą się dopiero. Ale pewna jestem, że niezadługo wszystko stanie mi się już zupełnie jasnem.

Robert słuchał w milczeniu. Cóż jej odpowie na to? Wpatrywał się uważnie w jej twarz, w głębię jej oczu, coraz bardziej go pociągającą! Mimo woli czuł, że pogrąża się w jakimś mglistym, skłębionym zamęcie, — z poza którego wyłaniała się jej postać... szła pomału, majestatyczna, blada jak płótno, z przepaską na oczach, wyciągając naprzód ręce, jakby szukając drogi...

Pobiegł ku niej, ukląkł i okrywał gorącemi pocałunkami jej ręce. A ręce te zimne były zupełnie jakby z marmuru!

VI.

Dia tancerka.

Irena była osóbką nader miłą. Jak tysiące podobnych jej dziewcząt, spędzała życie na niefrasobliwem próżniactwie: teatry, bale, wycieczki, — to były jej stałe zajęcia. Ładną była zupełnie: buzia rumiana, włosy ciemne, oczy błękitne, jasne, figlarne.

Spodobała się Robertowi i zakochał się w niej odrazu. Ona ze swej strony, nie szukając w twarzy Roberta podobieństwa Jazona, pokochała go całem sercem i była mu szczerze oddaną.

Tak stały rzeczy, aż do przybycia Euryale, której obraz wkrótce zawładnął zupełnie sercem i myślami Roberta. Zdawał sobie coraz wyraźniej sprawę z tego, że nie ma już siły panować nad swem uczuciem.

Nieznajoma z nad morza Egejskiego stała mu ciągle przed oczyma. Jakaż ona była dziwna, — jaka niezrozumiała, — z temi wizjami przeszłości, zaludniającemi jej umysł!

Stary Estney musiał wedle jej wskazówek zmienić zupełnie rozkład skarbów w muzeum nagromadzonych, — profesor bowiem wedle jej opinji nie potrafił przeprowadzić w nich należytej klasyfikacji. Gdziekolwiek brakowało napisów, — Euryale dawała je dodatkowo, naturalnie w języku greckim.

Jedynie tron marmurowy pozostawiła nietknięty. Na nim też zazwyczaj siadała, wydając tylko odpowiednie dyspozycje.

Prawdziwa królowa Saba, zauważył raz stary Estney.

Mała Minnie stała się zwolna wierną i zupełnie oddaną niewolnicą Greczynki, której okazywała podziw i cześć nadzwyczajną. Euryale nazwała ją „Dia", — a nazwa ta przyjęła się natychmiast. Dia zmieniła się zupełnie; wiecznie wesoła, uśmiechnięta, ochoczo brała się do każdej roboty, — a jej nieustanny prawie radosny śpiew wskazywał jasno, że się czuła zadowoloną i szczęśliwą.

— Dia jest mą niewolnicą, mówiła Euryale, — służy mi wiernie. Toteż jest szczęśliwą, bo daję zawsze szczęście w udziele tym, co mi wiernie służą.

Tymczasem zaszedł wypadek dość dziwny. Pewnego popołudnia, kiedy Robert przyszedł na herbatę, pani Manifold oświadczyła mu z tajemniczą miną, że miss Euryale znajduje się w muzeum — i że ona nie śmiała tam pójść po nią, — gdyż z sali muzeum dochodziły jej niezwykłe dźwięki.

Robert postanowił pójść sam do muzeum. Po drodze jednak zwalniał kroku, — a na progu sali stanął zdziwiony. W powietrzu zdawała się płynąć jakaś tajemnicza, śliczna melodja; — drgały struny jakieś, potrącane delikatnie. Drżący z ciekawości otworzył gwałtownie drzwi — i zatrzymał się na progu jak skamieniały.

Na tronie marmurowym siedziała Euryale, z włosami rozpuszczonemi, opadającemi jej na plecy, z oczyma szeroko otwartymi, błyszczącemi jakąś ekstazą. W rękach trzymała jakąś starożytną lirę, z której wydobywała przesłodkie tony. Wyglądała zupełnie niby jakaś Muza natchniona, — Robertowi przypomniała się Euterpe.

Przed nią pląsała jakaś młoda dziewczyna, bosa, z rozpuszczonemi włosami, odziana w krótki biały kostjum grecki. Nimfa, — dryada? Dopiero po dobrej chwili Robert przypatrzywszy się dobrze tancerce, — rozpoznał w niej Minnie!

Euryale nuciła jakąś dziwną pieśń grecką, dziwnie melodyjną, — w takt tej pieśni tańczyła Minnie. A tańczyła prześlicznie: z nadzwyczajnym wdziękiem i pewnością wykonywała przedziwne ewolucje, to stąpając cichutko małemi stopami po zimnej posadzie, to kołysząc się lekko, czy ślizgając, to wreszcie kręcąc się coraz prędzej, coraz prędzej — w końcu z zawrotną prawie szybkością. Robert zapomniał o wszystkiem, — gdzie się znajduje, kim jest ta tancerka. Jedno tylko odczuwał, — że jest świadkiem jakiegoś tajemniczego obrzędu.

Nagle śpiew się urwał, a Minnie przerwała taniec i podbiegła do Greczynki! Uklękła u jej stóp i okrywała pocałunkami tę jej rękę, którą Euryale łagodnie położyła na włosach tancerki.

Wtedy spostrzegły dopiero, że na progu sali stoi Robert.

VII.

Same tajemnice.

— Doprawdy Minnie, odezwał się wreszcie Robert, — nie miałem pojęcia, że umiesz tak tańczyć! Gdzież ty się tego nauczyłaś?

Z rękami skrzyżowanemi na piersiach Minnie stała nieruchomo, patrząc na niego ze zdziwieniem. Ona sama nie wiedziała, co myśleć o tem wszystkiem! Robert spojrzał pytająco na Euryale.

— Dia, córka Zeusa i Temidy, stworzona została dla tańca, — odezwała się Euryale poważnie.

— To już doprawdy przechodzi pojęcie, zauważył Robert po odejściu Minnie. Skąd bierze się w tem dziecku taki nadzwyczajny talent?

— A skąd promień słońca bierze moc swoją?

— To jeszcze niczego nie tłumaczy, żachnął się niecierpliwie. Ujął w ręce lirę, leżącą na kolanach Greczynki. Był to instrument starożytny, prześlicznie obrobiony, — ale bez strun. A jednak byłby przysiągł, że przed chwilą słyszał wyraźnie brzmienie strun!

— Dziwne to wszystko, bardzo dziwne, szepnął, oglądając lirę szczegółowo. Czuł, że stoi w obliczu jakiejś tajemnicy, której zrozumieć nie zdoła. Trzeba koniecznie ochłonąć, wrócić do równowagi umysłu: — Napróżno! Euryale zawładnęła zupełnie jego myślami. Ubraną była we wspaniałą purpurową suknię; rozpuszczone czarne włosy opadały jej na piersi i ramiona, lśniąc jakimś fosforycznym blaskiem. Odbłyski zachodzącego słońca, padające z góry poprzez oszklony sufit ozłacały jej białe ciało, — odbijały się w jej szeroko otwartych oczach. A oczy te wpatrzone były w Roberta!

— Chodź pan, odezwała się Euryale. Siadaj tu, przy mnie!

Robert usiadł na stopniu estrady, na której tron był ustawiony.

— Nie możesz pan już opanować fantazji, odezwała się głosem poważnym, choć dziwnie słodkim. Pod czaszką kłębią ci się myśli, których boisz się sformułować. Nie możesz pojąć, jakim sposobem mała Dia nauczyła się tego tańca. Ona sama nie umiałaby ci tego wytłumaczyć: wskrzeszone wspomnienie przeszłości! Ja tego chciałam. Dusza winna być wiecznie jednako piękną, ani rdza czasu, ani pył wieków minionych przyćmić jej nie mogą.

— Nie rozumiem cię, Euryale! Od czasu twego przybycia otwierają się przedemną nowe światy!

— Jesteśmy otoczeni tajemnicami, — a największa tajemnica kryje się w nas samych.

Gdyby coś podobnego powiedziano przed godziną jeszcze — byłby wybuchnął śmiechem.

— Jedna myśl płodzi drugą — i tak dalej, wciąż dalej! Wdrapujemy się na wysokie góry, — a przed nami rysują się coraz wyższe wciąż szczyty!

Pogłaskała go łagodnie po włosach.

— Spałeś długie, długie wieki!

Ta pieszczota, ten głos, napełniły go słodką bojaźnią. Jakiś osobliwy fluid zdawał się spływać ku niemu i przenikać mu duszę. Podniósł ku niej oczy.

Euryale uśmiechnęła się lekko:

— Twe oczy okrywała gęsta zasłona.

Ostatnim wysiłkiem zerwał się. Nie, — nie wolno mu zapominać o Irenie! Otrząsnął się gwałtownie z odrętwienia.

— Boże mój, zawołał, — zapomnieliśmy o podwieczorku! Muszę polecieć do pani Manifold!

Kiedy się znalazł w swym pokoju, próbował myśleć logicznie. Trzeba być rozsądnym i ostrożnym...

*

Jak co roku o tej porze Irena wraz z matką pojechały do swej wiejskiej posiadłości, gdzie przepędzały zawsze letnie miesiące. Umówiono się, że Robert przyjedzie do nich trochę później, — a pani Courfield przebąkiwała o tem, czy nie byłoby lepiej zaprosić równocześnie i Miss Argos.

Euryale jednak, mimo zaproszenia i serdecznej namowy ze strony Ireny zwlekała z odpowiedzią, nie mogąc się zdecydować.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z dawnego Turkiestanu.



Groby chanów kokandzkich z świętem drzewem Karaagacz (czarny wiąz).

Turkiestan rosyjski mało był znanym i zwiedzanym przez Europę. Nie spotykało się tam ludzi szukających wrażeń, ani estetów, ciekawych zabytków sztuki, pochodzących jeszcze z czasów Tamerlana Wielkiego, tego zdobywcy Wschodu, strasznego, krwiożerczego wodza. Z rzadka tylko, jakiś zaciekły uczony przebywał żyżne ziemie i piachy pustynne, ciągnące się między pasmami gór Tiań-Szań i Hindukusa, dalej w wyżyny Pamiru. Czasem jakiś malarz utrwalał na płótnie praojce — meczety i dworce ulubione władców Turkiestanu, które jako ruiny świadczyły o władczych czasach sześćsetnego roku hedżry. Jedyny rodzaj Europejczyka goszczącego tu stale, to zbijacze fortun. Jedni zajmowali się irygacją pól — za pomocą pomp doprowadzali z rzek wodę i użyźniali nią dotąd martwe pustynie, inni w fabrykach oczyszczali bawełnę i sprasowaną przesyłali Europie. Konkurencji nie było — każdy szczęśliwy pomysł niechybnie wiódł do majątku. Ten łatwy sposób osiągnięcia upragnionego celu, wywoływał przecież pewien sentyment. Przywiązywano się do tego gościnnego wschodu, do tych łagodnych, małomównych i ciemnych wyznawców Mahometa, którzy poniewierani i krzywdzeni przez Rosjan nie myśleli, nie umieliby nawet uplanować odwetu.



Kramik na bazarze. Pers sprzedający sznury.

Zasadniczą ich cechą była ogromna gościnność i pogoda usposobienia. Nawet dzieci małe wiedziały już o tem, że przechodnia należy w domu ugościć. Gdy spoczął na dywanach lub matach — „horain" (gospodarz) częstował go herbatą: wnoszono ją w jednej „pijale" (czarka) i horain pierwszy maczał w niej usta, następnie podawał ją gościom, którzy kolejno winni ją byli dokończyć. Tak każe obyczaj wschodni.

Ociężali z powodu upałów, najchętniej trudnili się handlem. Część miasta zajmował tak zwany bazar. Był to istny labirynt korytarzyków, węższych i szerszych, po których bokach gnieździły się na podwyższeniu otwarte małe kramiki. Panował tu ruch od świtu do wieczora. Niesłychanie barwna fala ludzi leniwie przepychała się tam i z powrotem. Sprzedawano i targowano, kupujący odsprzedawali zdobyte towary, to znów jakiegoś amatora golono na środku wąskiej uliczki, a inni przyglądali się temu ciekawie — w to wszystko wjeżdżała arba (wózek na dwóch wysokich kołach) arbaker siedząc na koniu pokrzykiwał bez skutku: „poszt, poszt" (z drogi) nikt się nie usuwał, na wszystko czekano cierpliwie, wszystko kiedyś stać się musiało.

Umiłowaniem sartów były walki ptaków. Do największych faworytów należały przepiórki i kechliki (kuropatwy skalne) ogromnie barwne i ruchliwe. Był to najciekawszy punkt programu „tomaszy" (zabawy) i przedmiot wielce ryzykownych zakładów o zwycięstwo. Wypuszczone z ciemnych skrzynek samce rzucały się po chwili na siebie, walcząc zajadle. Z zapasów tych wstawał tylko zwycięzca, pokonany leżał bezwładny, okaleczony, krwią broczący.

Ten cichy, spokojny sart, poniewierany i ciemiężony przez zaborców, z ciekawą radością obserwował walczące ptaki. Nie znajdował w swem sercu żadnej skry litości dla ginącego zapaśnika.

Często w większych miastach spotykało się pojedyńczo lub gromadnie wędrujących derwiszów. Ubrani w chałaty lub skóry dzikich zwierząt, z wiszącemi u boku jałmużnicami, zrobionemi z tykwy, nieraz bogato turkusami lub kolorowemi paciorkami wybijanemi, odbywali oni pielgrzymki do miejsc świętych, zbierając po drodze od wiernych pożywienie i jałmużnę. Idąc śpiewali monotonnie, upominając się w ten sposób o należną daninę. Biada opornemu. Dostawał się on w ręce derwisza, który wkręcał mu w dziwny sposób głowę, — za chwilę spadały na jego czaszkę szybkie a lekkie uderzenia, jakieś wgniatanie. Ale delikwent nie skarżył się, nie widać było bolu na jego twarzy — raczej pewien wyraz błogości spostrzec się dawał po lekko przykrytych powiekach. Więc należał do przyjemności, do rozkoszy ten dziwny masaż głowy. Zadokumentowaniem widocznem radości były kopiejki, wpadające do tykwy.

Po trudach dnia wypoczywali pielgrzymi w cieniu olbrzymiego rozłożystego kara-agaczu, — świętego drzewa, pod murami świątyń lub grobów dawnych chanów, panów ich życia i śmierci. Naprzeciw, w mrokach szybko zapadającej nocy, czerniały kontury opustoszałego pałacu. Jak drapieżne ramiona wyciągały się ze szczytów murów belki sterczące w koło zamczyska. Tu wieszano przestępców. Czy zasługiwali zawsze na to miano — powątpiewać należy. Często dawali życie, bo byli zawadą innym do zawładnięcia ich majątkiem.

Kobiety, gdy chodziło o wymiar sprawiedliwości, wrzucano do stawu w haremowym ogrodzie, w którym królowały sumy. Z za murów budynków wysuwały się żony — niewolnice, drapieżne piękności wschodu, i przyglądały się uczcie ryb.



Donice do wypiekania pierogów. Mały arbakesz (woźnica) wiezie zakwefioną kobietę i jej dzieci.

Powojenne, rewolucyjne wstrząśnienia tę oto spokojną, potulną ludność wytrąciły z jej dotychczasowej ospałości i bierności: „wet za wet — oko za oko — krew za krew" stało się hasłem jej w rozprawie z ciemięzcami.

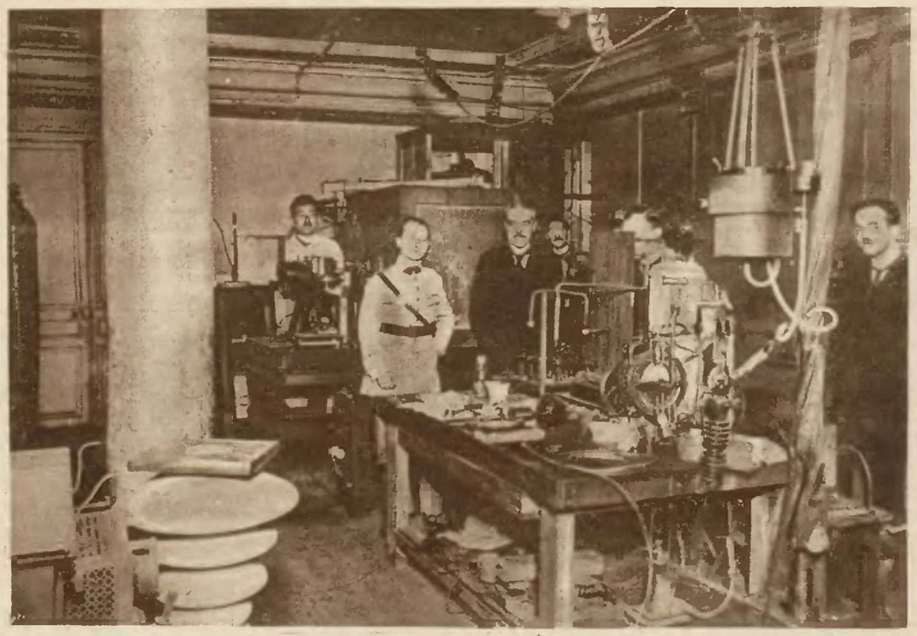
Robert Hart.



Gromada derwiszów i sarci w swych białych turbanach, asystują powracającym pielgrzymom.



Ulica na starem mieście, wiodąca na bazar sartowski.



Książę Broglie, członek paryskiej Akademji Nauk w swojem laboratorjum, gdzie pracuje nad badaniem promieni X.
Atlantic.



Amerykański lot naokoło świata: Start przed ostatnim najniebezpieczniejszym etapem drogi ponad Oceanem Atlantyckim. Amerykańscy lotnicy żegnają się w Kirkwall, gdzie ich przedtem goszczono.
Sennecke.



Na lewo: Wyścigi konne w Anglji: Sławny Goodwood Meeting, w którym swyciężył koń królewski London Cry pod dżokejem G. Archibaldem.
Agence Trampus.



Na prawo: Regaty w Cowes (Anglja): J. Król. Mość Król Jerzy na pokładzie swego cutteru „Britannia".
Agence Trampus.



Międzynarodowy zjazd Skautów w Londynie: Uroczysty akt otwarcia Zjazduw parku Wystawy w Wembley.
Sennecke.



Jeden z największych garaży samochodów na świecie nad jeziorem Michigan w Ameryce.
Agence Trampus.









Sennecke. Atlantic. Sennecke. Agence Trampus.

1. Trzej najszybsi biegacze świata: Paddock (Amerykanin) Houben (Niemiec), Murchison (Amerykanin). — 2. Holenderczyk Moeskops, który w paryskich zawodach cyklistów po raz czwarty (!) z kolei zdobył mistrzostwo świata, pokonawszy swego najgroźniejszego współzawodnika, Szwajcara Kaufmanna. — 3. Amerykanin Brown, zwycięzca w zawodach o skok w Berlinie (1.80 m). — 4. Radio w szpitalu: Nowy szpital londyński Hunt Point hospital, pierwszy zastosował radio do uprzyjemnienia chorym długiego leżenia w łóżku.

Rozmaitości.

Film „Panopticum“.



Emil Jannings jako „Harun Al Raszyd“ w filmie „Panopticum“.
Atlantic.



Konrad Veidt jako „Iwan Groźny“ w Filmie „Panopticum“.
Atlantic.

Ossi Oswalda.



Sławna gwiazda filmowa Ossi Oswalda w oryginalnym kapeluszu z piór strusich, ze sznurkiem pereł na plecach.
Atlantic.

Selma Lagerlöf w filmie.



Lars Hanson, najznakomitszy szwedzki artysta ekranowy w filmie „Gesta Berling“ według powieści Selmy Lagerlöf.
Atlantic.



Otwarcie 4. Konferencji Międzynarodowego Związku do zwalczania tuberkulozy w Lausannie (Szwajcarja): Uczestnicy Konferencji przed gmachem Uniwersytetu.
Atlantic.

Znakomity malarz rosyjski Ilja Repin.



80-ciolecie znakomitego malarza rosyjskiego: Ilja Repin, najwybitniejszy przedstawiciel współczesnego malarstwa w Rosji święci obecnie w cichem schronieniu w Finlandji 80-cioletnią rocznicę swoich urodzin. Galerja Tretjakowska w Moskwie mieści pierwszorzędne dzieła tego malarza, którego jako twórcę wielkich płócien historycznych porównać można poniekąd z naszym Matejką.
Atlantic.



„Salon sztuki“ pod gołem niebem w Paryżu na bulwarze Saint Michel w Quartier Latin, gdzie artyści sami sprzedają swe obrazy i szkice.
Atlantic.



Regulowanie ruchu ulicznego w Berlinie: Policjant ustawiony na wzniesieniu w punkcie krzyżowania się ulic daje trąbką samochodom i wozom sygnały.
Sennecke.

Humor i satyra.



Służąca Janowa: — Proszę pana, zabrakło mi papieru do podpalania.
— Panie prokurencie, niech pan da jutro ogłeszenie do „Kurjera“: Poszukuje się korespondenta oraz siły do kancelarji — z płacą miesięczną 100 zł. —
— Janowa, pojutrze będziecie mieli papieru ile tylko zechcecie.



Rozsądny człowiek.

— Więc pan istotnie chciałeś się z rozpaczy rzucić do wody?
— Tak, i byłbym to zrobił, gdyby nie to, że mam reumatyzm.



Ochrona lokatorów.

Szpak powracając do swego starego gniazda:
— Ty włóczęgo, patrz, ażebyś się stąd jak najprędzej wyniósł!....
Wróbel: — „Czin,... Czin! Czy ty nie wiesz, że jest ochrona lokatorów?

Kronika tygodniowa.

Z prawdziwą rozkoszą patrzę na rosnącą w niesłychanem zupełnie tempie poczytność „Światowida“. Młodzieniec ten w trzecim swoim tygodniu żywota na tym padole płaczu, nie jest płaczliwie usposobiony, przeciwnie ma minę niesłychanie zadowoloną, ciesząc się tem, że go sobie wzajemnie z rąk wyrywają.

Zdaje się, że to nic, ale u nas, w Polsce, zdobyć odrazu nakład idący w liczne dziesiątki tysięcy egzemplarzy, jest sztuką, jakiej nie każdy dokonać potrafi. Tu, gdzie nakłady rozmaitych pism liczą się na dwa, trzy, pięć, siedem (dużo!) tysięcy — dowodzi to tylko jak „Światowid“ był potrzebny i jak rodzice jego tę potrzebę chwili zrozumieli i odczuć potrafili.

„Światowid“ zaryzykował wyjście w świat w okresie najgorętszym t. zw. kanikuły. Ale co prawda, mimo, że deszcze, które nas przez pół lata trapiły i zatruwały życie, niknęły, ustępując miejsca upałom, chwilami iście tropikalnym, kanikuła tegoroczna nie jest podobna do tego legendarnego okresu przedwojennego, w którym obowiązkowo lęgły się węże morskie, przychodziły na świat cielęta z ludzkiemi głowami i dzieci z głowami cieląt, a miejsce wstępnych artykułów w dziennikach okupowały bezapelacyjnie tak zajmujące tematy, jak n. p. nawodnienie Mezopotamji, zasady racjonalnej hodowli karakonów i t. p.

Dzisiaj jest inaczej. Niema dnia, żeby nie zdarzyło się coś nowego. Dbają o to wszyscy. Dbają Niemcy, którzy napsuwszy przez kilka lat kilka ton papieru na noty i kilka cystern krwi całemu światu zdecydowały się na nową taktykę, polegającą na petraktacjach i zobowiązaniach ustnych. Byli w Londynie, zgadzają się na wszystko, ale w to, aby coś zapłacili, uwierzyć bardzo trudno. Tego nie lubią.

O rozruszanie sennego okresu dbają i bolszewicy! Oni pragną pokoju, o i jak jeszcze! to przecież baranki, jagnięta! A jeżeli urządzają „napady dywersyjne“ to zapewne dlatego, aby nie wyjść z wprawy na wypadek wojny, aby zapobiedz bezrobociu, trapiącemu rajską krainę sowietów i aby mieć temat do zajmującej dyplomatycznej korespondencji. Że przy tem krew płynie, ha! trudno! Gdzie drwa rąbią, muszą wióry lecieć!

Mnie osobiście zdawałobymi się, że najlepiej by było, aby te wióry posypały się z bolszewickiego drzewa. Powinien się o to postarać, wyposażony w pełnomocnictwo generał Rydz-Śmigły. Wtedy mielibyśmy więcej spokoju na pograniczu, a mniej Stołpiec, Naliboków i t. d. otoczonych przez bolszewików specjalną sympatją polskich miejscowości granicznych. Że Polska jest bolszewikom krainą nad wyraz miłą, świadczą o tem ich zagony konspiracyjne wewnątrz kraju. Głuchy łoskot bolszewickich kuźni płynie z Górnego Śląska, a pokątne warsztaciki wyłapuje policja w coraz to innej miejscowości kraju. Jest rzeczą niewykluczoną, że bolszewicy chcą nas zrujnować finansowo i przekreślić całą robotą sanacyjną, koniecznością utrzymania band swych emisarjuszy po więzieniach. Utrzymanie tylu przestępców, kandydatów na zbrodniarzy i podejrzanych o kandydowanie kosztuje bowiem sumy nie małe.

I teraz rodzi się trudne do rozwiązania zagadnienie: mamy w kraju plagę bolszewicką (nie znaczy to bynajmniej by plaga lubelska od rozbijania lotników była przez bolszewików subwencjonowana), a na granicach skutkiem miłego sąsiedztwa utrzymywać musimy duże oddziały wojska. Wojsko w naszej sytuacji jest wogóle potrzebne, ale bardzo kosztowne. W jednym z poprzednich numerów „Polski Zbrojnej“, a więc organie, do którego można mieć zaufanie, umieszczono obliczenie, według którego utrzymanie żołnierza jest kosztowniejsze aniżeli porucznika. Przesłanka stąd prosta, albo oficerowie są zbyt marnie płatni, albo należy poprostu usunąć z armji szeregowców a zostawić oficerów. Stosunek jednak obecny jest o tyle niebezpieczny, że grozi znaczne uszczuplenie oficerskiego grona, z którego stale znaczny odsetek ubywa do zawodów cywilnych i pozostawienie mas żełnierskich bez kierownictwa.

Jeżeli się naszej sytuacji uważnie przypatrzy, to mimo najgłębszej miłości do Ojczyzny nabiera się przekonania, że geografja była dla nas nielitościwa lokując nas pomiędzy bolszewikami, Litwinami, Niemcami, Czechami i innymi „przyjaciółmi“, dzięki czemu sypiać musimy z karabinem maszynowym koło łóżka, browningiem pod poduszką, granatami ręcznymi w nogach i naczyniem z gazami trującymi na stoliku nocnym. Żeby tak można zmienić sąsiadów! Chociaż . . . czy zmieniwszy ich, czulibyśmy się lepiej?

Całe szczęście, że będąc tak nieprzyjemnie ulokowanymi, nie tracimy całkiem humoru. Formujemy drużyny olimpijskie i bierzemy lanie na Olimpiadach, gramy w piłkę nożną i wybijamy sobie wzajemnie zęby, albo wybijają je nam spraszani za drogie pieniądze gracze zagraniczni, mamy kabaret osiemdziesiątego szóstego rzędu według numeracji światowej, bruki dziewięćdziesiątego, szosy sto piętnastego, a drożyznę pierwszej klasy. W tem jednak naprawdę przodujemy Europie, która patrząc na nas może sobie powiedzieć, że przecież mamy coś, czego ona niema!

Wyższość nasza przejawia się także na wspomnianych wyżej Plagem i Laśkiewiczem z Lublina, fabrykanta latających trumien. Przyznać trzeba, że misję swoją spełniają bez zarzutu i każdy samolot u nich zmontowany napewno się rozbije a lotnik zabije. Gdzieindziej coprawda tacy fabrykanci poszli by na całe życie do więzienia, jako jednego odpowiedniego dla nich locum, u nas otrzymują ciągle nowe zamówienia, które skrupulatnie wykonują, od czasu do czasu ogłaszając w dziennikach „sprostowania“, które prostują wszystko oprócz dwóch rzeczy: zdruzgotania aparatu i śmierci lotnika.

Dowodem specjalnej wdzięczności lotników był przed kilkunastu dniami pogrzeb dwóch lotników w Krakowie — ofiar lubelskiej firmy. Karawan zastąpiono oryginalnym samolotem firmy „Plage Laśkiewicz“. Tym razem aparat nie zawiódł: Ciągniony przez konie doniósł biedne, zgruchotane ciała zabitych aż do cmentarza . . .

Jah—Śmiechowski.



— Spotkałem Henryka. Skarży mi się, że ma żołądek tak zepsuty, że nic jeść nie może.
— To czemuś go nie zaprosił na obiad?

Humor i satyra.

Na koncercie „dobroczynnym“ jakiś jowialny jegomość powoduje ciągłemi brawami „naddatki“ śpiewaczki. Jego sąsiad trąca go gniewnie w łokieć.

— Panie dałby pan już raz spokój, przecież ta małpa tak strasznie skrzeczy.

— Eh, mnie nie o jej śpiew chodzi. Ale patrz pan: jak jej zęby spadają i jak ona zabawnie je zaraz językiem chwyta. Takiej zręczności już dawno nie widziałem.

*

— Czy nie sprawisz sobie radioaparatu?

— Poczekam, aż go będzie można dostać bez drutu.

*

— Czy państwo w domu?

— Nie, ale pan łaskawie zaczeka w salonie. Moi państwo dziś rano wylecieli aeroplanem w maleńką podróż naokoło świata i lada chwila będą z powrotem.

*

— Panie sąsiedzie, żona pan pewnie wczoraj bardzo wymyślała, że pan tak późno w nocy wrócił do domu?

— Co, czy pan co słyszał?

— Nie, ale w mojem mieszkaniu obraz zleciał ze ściany.

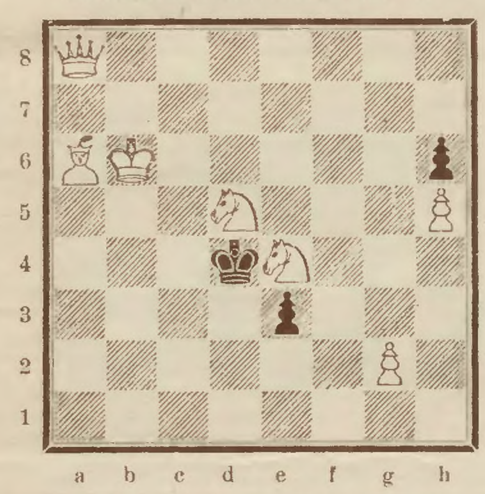
*

Małemu Józiowi mama dała pieniądze, aby się przejechał na karuzeli. Józio rozradowany biegnie na plac karuzeli, ale ku jego rozpaczy wszystkie są zamknięte. Ze łzami w oczach pyta się dozorcy o przyczynę. A gdy ten mu wyjaśnił, że dzisiaj jest żałoba, bo książe panujący umarł, chłopak pyta z kolei:

— To nie mógłby kto inny kręcić karuzelą?

*

Zadanie szachowe Nr. 3.



Mat w 3-ch pociągnięciach.

Wielki konkurs szaradowy.

Za rozwiązanie **wszystkich trzech zagadek** przeznacza się **trzy nagrody** a mianowicie **trzy pióra samopiszące.**

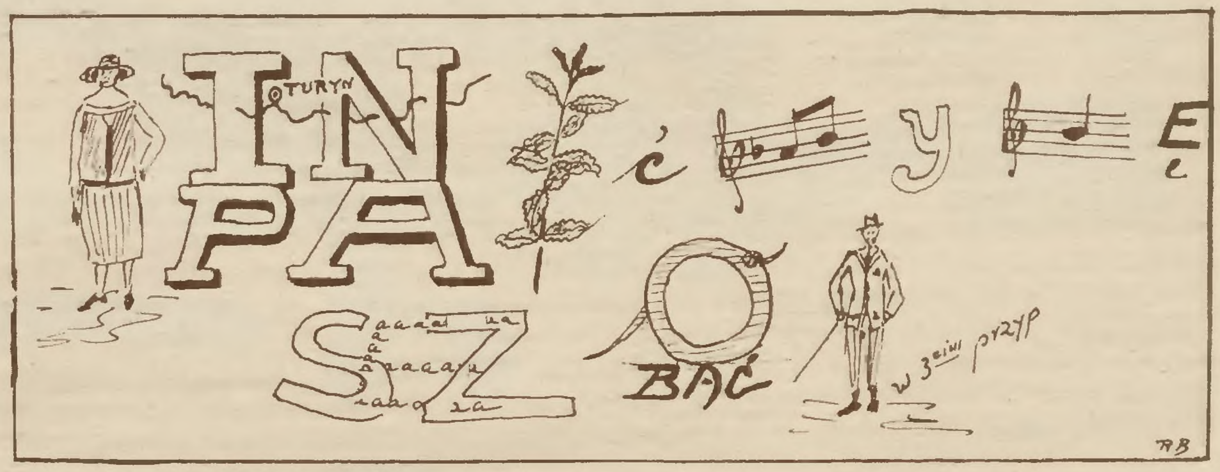
Wszyscy ubiegający się o te nagrody, zechcą nadesłać rozwiązanie wszystkich trzech szarad, zawartych w tym numerze, wraz ze swoim dokładnym adresem, poczem nastąpi losowanie trzech nagród.

Termin nadsyłania rozwiązań **upływa z dniem 30-go sierpnia 1924 r.** Wynik losowania ogłoszony będzie **w 5-ym numerze „Światowida“.**

Równocześnie zawiadamia się wszystkich, którzy nadesłali rozwiązania zagadek w nr. 1 zawartych, że przez pomyłkę do ich liczby włączono także i zadanie szachowe, nie objęte konkursem. Z tego względu, oraz ze względów technicznych wynik losowania w konkursie z Nr. 1. ogłoszony będzie dopiero w numerze 4., wynik konkursu z Nr. 2 (obejmującego też tylko zagadki bez szachów) w numerze piątym i t. d.

Rebus

ułożył Rom.



Zadanie konikowe.

Czterowierszowy cytat z Adama Mickiewicza.

		ści		
to-	dy	nie-	mło-	slod
ca	do-	ki,	je	bjań-
kie-	bie-	ta	czas	gdy
zło-	ser-		skie	ra-
ne-	le,		z in-	ten-
lę,	że		zem	po-
se-	ktar		na	ny-
wią-	dzie-	wo-	i	nić
ży-	we-	po-	mi	ta

Kwadrat magiczny.

A	A	E	E	I
I	N	O	O	O
O	O	R	R	R
R	R	S	S	T
T	T	T	W	Z

Rozmieścić powyższe litery tak, aby odpowiednie rzędy, poziomy i pionowy, dały tesame wyrazy, a mianowicie:

1. rząd: nazwisko polityka polskiego,
2. rząd: rzeka,
3. rząd: określenie przymusu,
4. rząd: imię częste w dramacie francuskim,
5. rząd: nazwisko rodowe jednego z ostatnich papieży.

Skrzynka listowa.

Panu Mich. M-rowi w Częstochowie. Redakcja niestety nie może podać Panu żądanego adresu, bo „Światowid“ nie jest pismem dla przemysłu dachówkowego.

Życie towarzyskie.

Redakcja „Światowida“ pragnąc w swem pismie uwzględniać również kronikę życia towarzyskiego i rodzinnego zwraca się z uprzejmą prośbą do P. T. Czytelników o nadsyłanie jej dotyczącego materjału ilustracyjnego, łącznie z krótkim, ale dokładnym tekstem objaśniającym (rodzaj wydarzenia, data i miejsce, nazwiska osób, uwidocznionych na ilustracji i t. d.)

Do P. P. Fotografów!

Redakcja „ŚWIATOWIDA“ zwraca się z uprzejmą prośbą do Panów Fotografów w Polsce i zagranicą, by zechcieli nadsyłać jej odbitki (ile możności na błyszczącym papierze) aktualnych wydarzeń z wszystkich dziedzin życia współczesnego, wraz z krótkim tekstem objaśniającym. Wszystkie reprodukowane w naszem piśmie zdjęcia będą honorowane, ewentualnie możemy zawrzeć z P. P. Fotografami stałą umowę. Zdjęcia i korespondencję prosimy nadsyłać pod adresem Redakcji „**Światowida**“, **Kraków**, Basztowa 17 (telefon 35-42).

»ŚWIATOWID«

ILUSTROWANY KURJER TYGODNIOWY

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ

W KRAKOWIE, WARSZAWIE, POZNANIU, WILNIE I LWOWIE

NACZELNY REDAKTOR I WYDAWCA: **MARJAN DĄBROWSKI.** KIEROWNIK LITERACKO-ARTYSTYCZNY: **DR. JÓZEF FLACH.**

„ŚWIATOWID"

będzie aktualną żywą ilustrowaną kroniką tygodniową i zamieszczać będzie w każdym numerze **kilkadziesiat (40—50) zdjęć fotograficznych,** poświęconych wszechstronnemu obrazowaniu chwili bieżącej, wykonanych **nieznaną u nas dotychczas techniką rotograwury („Tiefdruck"),** i odbitych na umyślnie dobranym papierze, przedwojennej jakości. **„ŚWIATOWID"** ilustrować będzie wszystkie wybitne wydarzenia **w Polsce i na szerokim świecie** zarówno z życia politycznego, narodowego, kulturalnego i towarzyskiego, jak i ze świata techniki, odkryć i wynalazków, objaśniając je zwięzłym, popularnie ujętym tekstem. **„ŚWIATOWID"** poświęci baczną uwagę w ilustracyi i tekście **sportowi** tak w kraju, jak i zagranicą. Osobny dział zawierać będzie **przegląd mód** zarówno damskich, jak i męskich. W skład każdego numeru wejdzie **obfity dział humoru** swojskiego i obcego, humorystyczne rysunki i karykatury, oraz **humorystyczno-satyryczna kronika tygodniowa.** Każdy numer **„Światowida"** zawierać będzie ponadto dział **rozrywkowo-pouczający,** jakoto: zagadki, oryginalnie dla nas napisane, fotografię amatorską, filatelistykę, szachy itd. **„ŚWIATOWID"** drukować będzie w każdym numerze dłuższą **powieść,** oryginalną lub tłómaczoną, zdolną w najwyższym stopniu zaciekawić współczesnego czytelnika, oraz krótką, lekką **nowelę.** Starannym doborem ilustracji i tekstu **„ŚWIATOWID"** współzawodniczyć będzie z powodzeniem **z najlepszemi zagranicznemi ilustracjami** tego typu.

„ŚWIATOWID" wychodzić będzie w każdą sobotę, w zeszytach wielkiego formatu objętości 16 stronic.

Cena poszczególnego numeru „ŚWIATOWIDA" 80 gr. — Prenumerata kwartalna 10 złotych — zagranicą — 12 złotych. Prenumerować „Światowida" i kupować poszczególne numery można we wszystkich kioskach i agencyach oraz u wszystkich sprzedawców „Ilustrowanego Kuryera Codziennego".

CENY OGŁOSZEŃ: 1. w dziale inseratowym za wiersz 1 mm . . **0·40 zł.** — 2. Nadesłane za wiersz 1 mm . . **1·— zł.** 3. Między tekstem redakcyjnym za wiersz 1 mm . . **2·— zł.** // Rachunki płatne najpóźniej w 8 dni od daty faktury.

Adres Redakcji i Administracji „ŚWIATOWIDA" Kraków, ulica Basztowa 17

WIELKI KONKURS

FOTOGRAFICZNY

»ŚWIATOWIDA«

Pragnąc przyczynić się do ożywienia i rozwoju zaniedbanej u nas, a takszlachetnej sztuki **fotografii amatorskiej,** Redakcya „ŚWIATOWIDA" ogłasza

Wielki konkurs fotograficzny z nagrodami

za najlepsze zdjęcia amatorskie w pięciu działach,

1. **Zdjęcia aktualne,** przyczem mogą to być nawet zdjęcia z drobnych, lokalnych wydarzeń, byleby były charakterystyczne, np. w kostyumach, układzie osób, tle architektonicznem itp.

2. **Zdjęcia krajobrazowe,** z uwzględnieniem osobliwej malowniczości poszczególnych ziem polskich, jak polskie morze, widoki tatrzańskie, spokojny urok równiny mazowieckiej lub kujawskiej, pierwotna dzikość puszczy Białowieskiej, pojezierza pomorskie, pińskie itp.

3. **Portret kobiecy,** z uwzględnieniem charakterystycznych cech wdzięku i urody Polki, w codziennem ubraniu, w sukni balowej, w polskim stroju ludowym itp.

4. **Zdjęcie sportowe,** ze sportów wszelakiego rodzaju (automobilizm, awiatyka, polowanie, pływanie, wiosłowanie, jazda konna i na kole, fechtunek, piłka nożna, tennis, rzucanie dyskiem, skok itp.).

5. **Zdjęcie wnętrza,** przyczem przedmiotem może być zarówno chata wiejska, dworek szlachecki, sala muzealna, mieszkanie miejskie itp. jak poszczególne dzieła sztuki (obraz, rzeźba) lub sztuki stosowanej (wazon na kwiaty, szafa stylowa itp.), zawsze z uwydatnieniem piękna artystycznego danego przedmiotu.

W kdżdej kategorji zdjęć Redakcya „ŚWIATOWIDA" wyznacza

trzy nagrody a mianowicie:

I nagroda w kwocie 300 zł.
II „ „ „ 200 „
III „ „ „ 100 „

Razem więc rozdanych będzie **piętnaście nagród, w ogólnej kwocie**

3000 (trzech tysięcy) złotych

a mianowicie: **pięć nagród po 300 zł., pięć po 200 zł. i pięć po 100 zł.**

W konkursie mogą brać udział **fotografowie-amatorzy,** obywatele Państwa Polskiego, oraz Polacy, mieszkający poza Polską. Zdjęcia nadsyłać należy do Redakcyi „ŚWIATOWIDA" w odbitkach na **papierze lśniącym formatu 9×12.** Na odwrotnej stronie prosimy podać imię, nazwisko i adres zdejmującego, oraz określenie przedmiotu zdjęcia. Termin nadsyłania zdjęć upływa z dniem **30 października 1924 r.,** poczem w przeciągu dwóch tygodni nastąpi ogłoszenie wyniku konkursu i rozdanie nagród.

Wszystkie nagrodzone i wyróżnione zdjęcia reprodukowane będą w „ŚWIATOWIDZIE" z podaniem nazwiska twórcy i za normalnem honorarjum.

Redakcja „ŚWIATOWIDA".

Wydawca i naczelny redaktor: Marjan Dąbrowski. — Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr Józef Flach — Kraków, Basztowa 17. — Drukiem „Ozdag" — Kraków, Basztowa 18.